

ale nigdy nie uważałam, że jest na tyle uroczyście, by naszyjnik od pani Stefanii mógł ozdabiać moją szyję. Poczułam to dopiero kilka lat później. I to siedząc przy świecach w moim własnym domu. Wtedy miałam też na sobie pasujące do naszyjnika kolczyki. Ale o tym za chwilę.

Z każdego spotkania z Markiem wracałam coraz bardziej oszołomiona i coraz bardziej zakochana. Uznałam, że los specjalnie postawił nas na tej samej drodze. Marek był architektem, miał całkiem dobrze prosperujące biuro architektoniczne i szukał pracownika. Czy mogło być lepiej? Po kilku wspólnych wieczorach, jeszcze nieśmiałych pocałunkach skradanych sobie i coraz śmielszych pieszczotach oboje wiedzieliśmy, że chcemy spędzać ze sobą jak najwięcej czasu. Byłam pewna, że on jest mężczyzną na całe życie. Och, jak można się pomylić! Chyba nigdy nie wiemy, czy ten, którego właśnie kochamy jest na całe życie. Co gorsza, nie tylko od nas to zależy. Ale wtedy? Wtedy byłam zakochana. Zaczarował mnie bardzo. W pracy i poza pracą. Dwa tygodnie po tym jak gonił mnie w lesie, zaczęłam pracę w jego biurze. Mogłam robić uprawnienia, a przy okazji uczyć się od najlepszego. Nie miałam wątpliwości, że architekt Marek Więclawski był najlepszy. Najlepszy pod każdym względem. Ach, jaka ja byłam zakochana!

Niestety pani Stefania nie podzielała mojej miłości. Ale czy musiała?

\*

Nie musiała podzielać moich życiowych wyborów, sama dokonywała swoich. Ale ja w zasadzie nic o nich nie wiedziałam.

Jakiś czas po tym jak zaczęłam spotykać się z Markiem, powiedziała mi, że ktoś dla niej ważny ją odwiedził. Była rozentuzjasmowana. Chyba nie przywiązywałam do tego wagi. Może powinnam była dopytać? Zauroczenie Markiem sprawiało, że w zasadzie nie potrafiłam myśleć o niczym innym niż o naszej miłości.

Potem czasem wspominała, że w weekend będzie miała gościa. Mnie to było na rękę, bo nie miałam wyrzutów sumienia, że jej nie odwiedzam. Ona nigdy tego ode mnie nie wymagała – sama czułam, że powinnam.

Dlaczego nigdy nie zapytałam, kim był ten gość? Może dlatego, że kiedyś wspomniała o dalekiej kuzynce z Warszawy, która czasem do niej przyjeżdżała, i byłam pewna, że to właśnie ona odwiedza panią Stefanię?

Nie dopytywałam.

Tak sobie myślę, że ona znała mnie doskonale, a ja o niej nie wiedziałam prawie nic.

\*

Pierwsze spotkanie dwóch najważniejszych w tamtym czasie dla mnie ludzi nie przebiegło w zbyt miłej atmosferze.

Pani Stefania podarowała mi sekretarzyk. Niewielki, stary, z ciemnobrązowego drewna, bogato rzeźbiony, z mnóstwem zakamarków. Podobno pamiętał jeszcze czasy jej matki. Przywiózł go jej ktoś spod Łodzi. Mówiła, że mebel został znaleziony u sąsiadów.

Nie rozmawialiśmy wcześniej o jej przeszłości. Wiedziałam, że pani Stefania pochodzi z Rudy Pabianickiej, ale nie sądziłam, że jeszcze cokolwiek zostało z jej rodzinnego majątku. Otóż okazało się, że został ten śliczny sekretarzyk z mnóstwem mikroskopijnych szafeczek i szufladek. Oglądałam go z przejęciem, głaskałam i zachwycalam się.

– Jest twój – powiedziała pani Stefania. – Jestem szczęśliwa, że cieszysz się nim tak samo jak ja dawno, dawno temu. Tyle listów na nim zostało napisanych...

– Pisała pani na nim listy?

– Tak. I moja matka też. Kiedyś ci opowiem. Jak będzie trochę więcej czasu. To była bardzo zagnatwana historia i sama dowiedziałam się wszystkiego całkiem niedawno. – Westchnęła. – Poproś Marka, pomoże ci go przetransportować do ciebie. Sama nie dasz rady. A przy okazji poznam go wreszcie. – Uśmiechnęła się.

Faktycznie. Spotykałam się z Markiem już ponad pół roku, a jeszcze nie było okazji, bym przedstawiła go jednej z dwóch najbliższych mi osób.

Od razu zadzwoniłam do niego.

– Marek, dostałam prezent od pani Stefanii. Pomógłbyś mi go dzisiaj przenieść do domu? – zapytałam.

Marek nie mógł tego zrobić „dzisiaj”. Ani „jutro”, ani „za tydzień”. Ciągłe coś wypadalo. Pamiętam, że pierwszy raz pokłóciliśmy się właśnie o to. Trzasnęłam drzwiami, mówiąc, że jeżeli on mi nie pomoże, to załatwię sobie innego pomocnika. Wybiegł za mną z biura. Przytulił mnie w progu.

– No i pozwolisz, by na drodze do naszego szczęścia stanął jakiś stary, zdezelowany grat?

– To nie grat – powiedziałam ze złością. – To cudny, przedwojenny sekretarzyk. Z duszą!

– I milionem pasażerów – dodał z przekąsem.

– Już ci mówiłam, że sama sobie dam radę. – Wyrwałam się z jego objęć.

Poszedł jednak za mną.

– Jedziemy – powiedział, wyciągając kluczyki.

– Dokąd?

– Załatwić sprawę tego mebla. Skoro tak ci zależy.

Zależało. Pewnie, że zależało.

Pojechaliśmy do pani Stefanii. Zaparkowaliśmy pod nieco obdrapanym falowcem i skierowaliśmy swoje kroki w stronę drzwi.

– To tutaj? – zapytał zdziwiony.

– Tutaj – odpowiedziałam.

Weszliśmy do środka.

Skrzywił się na widok pomalowanej przez dzieciaki windy. Udawałam, że tego nie widzę. Zdecydowanie nie chciałam tego zobaczyć.

\*

Pani Stefania otworzyła nam z uśmiechem na twarzy. Jednak jej oczy wnikliwie obserwowały Marka. Wyczułam, że nie do końca jej się podoba.

– To gdzie ten grat, który mamy zabrać? – zapytał, siląc się na dowcip.

Pani Stefania uniosła brwi.

– Grat? – zapytała.

– No, ten stół – poprawił się Marek.

– Sekretarzyk – próbowałam ratować sytuację.

– Dziewiętnastowieczny mebel – poprawiła pani Stefania. – Bardzo dla mnie cenny. I jestem pewna, że Zosia również go doceni.

– Pani Stefanio, czy ma pani co do tego jakiejś wątpliwości? – zapytałam.

– Żadnych – ucięła krótko, wyzywająco spoglądając na Marka.

Ten bez słowa złapał jedną stronę biurka, polecił mi podnieść drugą i poszedł prosto w stronę uchylonych drzwi. Gdy wyszliśmy na galerię, wróciłam do mieszkania pani Stefanii.

Nic nie mówiła.

– Pani Stefciu kochana, on nie zawsze taki jest – próbowałam tłumaczyć Marka.

Nadal nic nie mówiła, skinęła tylko głową. Przytuliła mnie i pocałowała w czubek głowy.

– Pa, kochanie. Mam nadzieję, że sekretarzyk będzie ładnie u ciebie wyglądał.

– Mam dla niego miejsce. – Uśmiechnęłam się. – Z pewnością będzie pasował.

\*

Po wyjściu od pani Stefanii Marek milczał. Jednak, ku mojemu zaskoczeniu, nie byłam w ogóle zainteresowana jego opinią na jej temat.

Zmartwiła mnie za to opinia pani Stefanii na temat Marka. Nie wszystko mogło być idealne. Próbowałam się cieszyć prezentem, ale Marek co chwilę skutecznie psuł mi tę radość.

– Jak my to do auta włożymy? Przecież to się zaraz rozsypie. Nie prościej od razu to wyrzucić?

– Marek. Ja naprawdę mam nadzieję, że ty nie mówisz tego na serio.

Spojrzał na mnie z wyrzutem.

Jednak chyba mówił poważnie.

– Nieważne. – Pokręciłam głową. – Chcę mieć ten sekretarzyk w swoim pokoju.

– Jasne – stwierdził. – Czy ja coś mówię?

Nie mówił. Ale czasem nie trzeba mówić nic, by wszystko było wiadomo. Pani Stefania miała kobiecą intuicję. Marek nie spodobał się jej już na pierwszym spotkaniu. Na kilku kolejnych, przypadkowych lub nie, również.

\*

Nie podobało jej się to, że jestem taka zakochana. Bała się, że jeśli tak wysoko fruwać, upadek na ziemię będzie bardzo bolesny. Markowi również nie pasowała moja przyjaźń ze starszą panią.

– Ty już nie masz koleżanek? Musisz do niej chodzić? – pytał, gdy w jedną ze śród stanowczo odmówiłam spotkania się z nim, bo czekała na mnie kolacja i ciastko u pani Stefanii.

– Ależ mam. Pani Stefania jest dla mnie bardzo ważna.

– No właśnie, zupełnie tego nie rozumiem. – Wzruszył ramionami – Nie jest twoją rodziną.

– Nie jest. Ale jakby się tak zastanowić, to zrobiła dla mnie więcej niż własna matka. Gdyby nie ona, pewnie nie byłabym architektem...

– A kim?

– Nie wiem. – Pokręciłam głową. – Podążyłabym ścieżką, którą nakreślili mi rodzice. Pewnie kroiłabym zwłoki w prosektorium. Idąc ich śladem, musiałabym od tego zacząć.

– No nie jest to zbyt twórcze.

– Zdecydowanie nie. To właśnie pani Stefania odkryła moją twórczą stronę.

Marek wzruszył ramionami.

– No dobra. Idź. Zadzwoń, gdy wrócisz.

– Zadzwonię.

Zawsze dzwoniłam. Co wieczór. „Dobranoc, śpij dobrze”. A potem jeszcze kilka esemesów. Mieliśmy taki nasz codzienny rytuał. Mieszkałam z rodzicami, rzadko nocowałam poza domem. Nie to, że nie chciałam, ale Marek zbyt często mi tego nie proponował. Może był zbyt wygodny, a może nie chciał, bym zbyt poważnie zaczęła traktować nasz związek?

Jednak tamtej środy wieczór spędziłam z panią Stefanią. Ale już kolejna środa należała do Marka. Zaprosił mnie do teatru.

– Kochana pani Stefanio, akurat premiera... -tłumaczyłam się. – Nie mogłam odmówić.

Potem, w następną środę, również jej nie odwiedziłam. Już nie pamiętam, co mi wypadło. Ale teraz wiem, że Marek celowo zapewniał najwięcej atrakcji właśnie w środowe popołudnia, bo nie mógł znieść, że ktoś w moim życiu jest równie ważny jak on.

Powinnam wtedy wiedzieć, że mężczyźni tacy jak Marek przychodzą i odchodzą. Pojawiają się znienacka w środku lasu, a potem rozplywają się w nicości. A prawdziwa przyjaźń ze starszą panią, budowana przez lata, może przetrwać całe życie. Niestety nie wieczność. Zdawałam sobie sprawę, że pani Stefania nie jest już najmłodsza. W naszych rozmowach dominowały ostatnio sprawy zdrowotne. Moi rodzice używali swoich wpływów, by dostała się do najlepszych

lekarzy, ale cóż – zegara biologicznego nie można cofnąć. Pani Stefania czuła się coraz gorzej.

Funkcjonowała oczywiście normalnie, w jej oczach nadal tlił się wesoły ognek, ale tabletek na nocnym stoliku wciąż przybywało, a pani Stefania coraz częściej zaczynała mówić o śmierci.

Kiedys poprosiła, bym znalazła jej dobrego notariusza.

– Pani Stefanio, czy mogę w czymś jeszcze pomóc? – zapytałam zaskoczona.

– Nie. Daj mi tylko telefon do niego. Muszę pogadać.

Kilka dni później zapytała, czy nie pojechałabym z nią do Łodzi.

– Do Łodzi?

– Tak. Muszę coś załatwić.

– Ale co?

– Dowiesz się w swoim czasie.

Pani Stefania była bardzo tajemnicza. Nie pytałam. Uznałam, że jeśli będzie chciała, sama mi powie. Miałam do niej niczym niezmacone zaufanie i byłam pewna, że wszystkie jej kroki życiowe są doskonale przemyślane.

\*

Marka ciężko było namówić na tę Łódź.

– Ale po co do Łodzi? – Krzywił się.

– Nie wiem, Marek. Pani Stefania mnie o to prosiła.

prawdę żałowałam, że poprosiłam go o to, by z nami pojechał.

– Może kawę jakąś ci przyniosę? – zaproponowałam.

– Nie. Piłem już dziś przecież kawę.

– Herbatę?

– Nie – uciął krótko.

– To sobie przyniosę. – Wyszedłam z samochodu, opatuliłam się szalikiem i wyruszyłam w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłam kupić kawę na wynos. Kupiłam dwie kawy, herbatę i trzy ciastka. Wróciłam do Marka i podałam mu herbatę.

– Nie chciałem herbaty – powiedział.

– Myślałam, że zrobi ci się ciepłej. – Uśmiechnęłam się. – No uśmiechnij się. Ciastko też przyniosłam.

Zobaczyłam na twarzy Marka dziwny grymas.

– Tymi ciastkami to tylko nakruszymy w samochodzie.

– To odkurzymy – powiedziałam.

Po chwili zauważyłam, że pani Stefania wychodzi z kamienicy. Tuż za nią szedł starszy pan. Stanęli przed wejściem, chwilę rozmawiali. Mężczyzna wyciągnął rękę. Pani Stefania zawahała się przez moment. W końcu jednak zdjęła rękawiczkę i podała mu dłoń. Chwilę stali i o czymś rozmawiali. Wyszedłam z samochodu, ale czułam, że nie powinnam im przeszkadzać. Gdy tylko mnie zobaczyła, kiwnęła mężczyźnie, od-

wróciła się od niego i skierowała swoje kroki w moim kierunku.

– Możemy jechać – powiedziała.

– Wszystko załatwione?

– Tak. W zasadzie tak – potwierdziła. – Jeszcze tylko jedna rzecz.

– Tak?

– Marku, czy możesz pojechać przez Rudę Pabianicką? Muszę odwiedzić jeden dom – zwróciła się bezpośrednio do naszego kierowcy.

– Podróż sentymentalna? – Uśmiechnęłam się.

– Tak jakby – powiedziała cicho pani Stefania.

Marek nie protestował. Wbił w GPS adres, który podała mu starsza pani, i ruszył z parkingu z piskiem opon.

\*

Kilkanaście minut później pani Stefania poprosiła, by się zatrzymał. Staliśmy pod pięknym, ale starym, bardzo zniszczonym domem tuż nieopodal lasu.

Willa była w stylu szwajcarskich pałacików myśliwskich. Miała wiele ozdobnych daszków i wieżyczek. Niestety niewiele zostało z dawnej świetności. Każdy mógł do niej wejść przez uchylone, najwyraźniej niedomykające się, drzwi. W brudnych, porozbijanych oknach wisiały postrzępione firanki. Na zewnątrz straszyły obdrapane ściany z obsypującym się tynkiem. Patrząc na ogród, można było się tylko do-

myślać jego dawnej świetności. Tuż przy drodze rosły jakieś uschnięte krzaki. Chyba róże.

– To tutaj – powiedziała. – To tutaj.

W jej oczach zobaczyłam łzy.

\*

Marek nie wchodził do środka. Stał na zewnątrz i palił papierosa. Czasem popalał. Głównie gdy był zdenerwowany. Nie wiedziałam, co teraz mogłoby go irytować, chyba tylko to, że poświęca nam swój czas, nie mając z tego najmniejszej przyjemności.

Pani Stefania uchyliła drzwi i weszła pierwsza. Natychmiast poczułyśmy zapach kurzu i wilgoci.

Przeszłyśmy ciemnym korytarzem i znalazłyśmy się w pokoju, do którego przez okno wpadał jasny promień światła. Z jednej strony stał piec kaflowy, po drugiej wielkie biurko i masywna szafa.

– Dawno tu nie byłam – powiedziała. Usiadła na starym drewnianym krześle, stojącym przy biurku. – Te meble pamiętają chyba wszystkie rodzinne sekrety. A było ich wiele. – Wstała. Dotknęła zimnego kafłowego pieca.

– Pani Stefciu, dobrze się pani czuje? – zapytałam.

– Dobrze. Tak człowiek się właśnie czuje, gdy wraca tam, gdzie być powinien.

– A dlaczego tu pani powinna być?

– Dlaczego? Kiedyś ci opowiem. To jest mój dom.

– Pani dom? – Teraz zrobiło mi się słabo. – Jak to pani dom? Od kiedy?

– Powinien być chyba od zawsze. A jest od... – Spojrzała na zegarek. – Od dwóch godzin.

– Nic nie rozumiem!

– Mężczyzna, z którym się dziś spotkałam, podarował mi ten dom.

– Podarował dom? Dlaczego?

– Miał swoje powody – ucięła krótko. – Muszę być gotowa, by ci o tym opowiedzieć. Chociaż nie wiem, czy mi życia wystarczy.

Poszłyśmy dalej w głąb domu. Drewniana podłoga bardzo skrzypiała pod naciskiem naszych stóp. Poza tym nie słyhać było żadnych odgłosów. W kolejnym pokoju była najwyraźniej sypialnia. Stało w nim wielkie łóżko, po drugiej stronie drzwi znajdował się kominek, a na przeciwległej ścianie komoda z szafkami. Kolejny pokój był zupełnie pusty. W pomieszczeniu, które zapewne było kuchnią, stała witryna z brakującymi szybami. W największym pokoju na środku był duży okrągły stół, a wokół niego krzesła. Ściany były pomalowane na biało, ale wcześniej oklejone tapetami, widocznymi gdzieniegdzie spod farby. Tapety te pamiętały chyba czasy dawnej świetności willi.

– Dużo pracy nas jeszcze tu czeka. – Pani Stefania pokiwała głową. – Na górę nie będę dziś wchodzić. Za dużo emocji.

Całą drogę do Gdańska milczała. Nie pytałam jej o nic. Pewnie nie chciałaby opowiadać o swoich rodzinnych sekretach w towarzystwie Marka. Rozumiałam to. Myślałam, że mam bardzo dużo czasu na poznanie tej historii.

\*

Teraz wiem już, dlaczego pani Stefania przyjęła tę darowiznę. Jednak nie od niej. Nie zdążyła opowiedzieć mi tej historii. A próbowała wielokrotnie. To ja nie miałam czasu, to ona nie czuła się na tyle dobrze, by mówić. Może uderzyła mi do głowy miłość, a raczej zauroczenie. Bardzo cieszyłam się, że nie była świadkiem tego, co nastąpiło później, chociaż pewnie obserwowała wszystko z góry. Splatała dłonie na podołku, kiwała głową, a jej zwykle roześmiane, niebieskie oczy stawały się na chwilę smutne.

Życie.

Pani Stefania umarła zbyt szybko. Zdarzyło się to pewnego grudniowego poranka. A dokładniej tuż po świętach. Uparła się, by iść na pasterkę.

– Dlaczego mi nie pozwalasz? – pytała. – Skąd wiesz? Może to już moja ostatnia pasterka? Żałujesz mi?

– Pani Stefanio, mróz na dworze. – Spojrzałam na termometr. – A pani chce na pasterkę wyruszać!

Pani Stefania była u nas na wieczerzy wigilijnej i właśnie odprowadziłam ją do domu.

– Nie chcesz, to nie idź. – Wzruszyła ramionami. – Ja do wiary nikogo nie będę zmuszać.

– Pani Stefanio, tu nie chodzi o wiarę! – Westchnęłam.

– No dobra, masz rację. Po prostu mam ochotę pośpiewać sobie kolędy.

– Kolędy możemy tutaj pośpiewać. – Usiadłam do pianina. – Zaczęłam grać *Cichą noc*.

– Kochana. Ja nie mam ochoty dzisiaj na *Cichą noc*. Ja mam ochotę, by jakiś bas stojący obok grzmotnął z całej siły *Przybieżeli do Betlejem*.

Roześmiałam się.